

Gołębiowski, Stefan

Najstarszy z najmłodszym, "Tygodnik Kulturalny" 1986, nr 34 : [przedruk]

Biezuńskie Zeszyty Historyczne 25, 214-222

2011

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

zaawansowaną zachęcić do czytania po programowych powieściach realizmu krytycznego powieści realizmu kreatywnego.

Jeśli Witkacy ze swoim teatrem nowatorskim, mniej realistycznym, a bardziej absurdalnym prawie że stał się obowiązujący, to powieść otwarta na to nie mniej zasługuje, jeśli chcemy w doborze lektur szukać w szkole odnowy pod kątem nowoczesnego czytelnictwa.

Recenzja z konkursu „Tygodnika Kulturalnego” i „Głosu Nauczycielskiego”.

NAJSTARSZY O NAJMŁODSZYM

„Tygodnik Kulturalny”, 1986, nr 34

U schyłku wracam do początku. Skąpany w ogniu na walecznej Kasztance przeskok przez dwa ognie i dwa spalone mosty. Powrót do czasów zaborczych, do pierwszego przedwiośnia i do Kasztana, co nie dał się zniewolić.

Trafiłem w dziesiątkę. Jest ich siedem, podobnych do 7 toporów, a więc w sumie siedemdziesiąt toporów, które mnie dzielą od tamtych czasów, Toporów od mostu po starym do nowego w połowie.

W drugiej jego połowie wciąż jeszcze kafar żelazną babą w potężne pale z podniesionej wysokości odpowiednio do poziomu mostu nad wodą grzmoci. Ostatni, wbity do połowy, z powodu dokuczliwego deszczu na palu z babą został jako niedobitek na walenie w łeb.

Ślota, jesień rozpluskana, drogi wyboiste, uciążliwe. Z kałużami luster, co potłuc się nie dają. Ojciec do Gniadej po sąsiedzku od Panietygo dopytywał drugiego konia, który w stajni stał bezczynnie, a u gospodarzy, co się trudnili furmanowaniem, kto mógł, szukał konia trzeciego.

Taka hajda-trojka, nie chełmońsko-ukraińska z hołoblami, lecz mazowiecka, z dwoma szkapami przy dyszlu i z bocznym koniem na przyprzążkę, należała do ojca Miecia Bramorskiego, co starszy o rok ode mnie, a jeszcze się krzepko trzyma i nie da sobie w kaszę dmuchać.

Nie darmo pochodzi z rodziny Bramorskich, zasiedziały w Bieźniu gospodarzy i szewców jednocześnie. Nie z tych biedniaków, z których dworuje miejscowe, bieżeńskie przysłowie z tysiąca i jednej nocy, bez tej jednej, sprowadzone do absurdu, w szydliwym od szydła prze-

kadle — tysiąc szewców na jarmark na jednej kobyle jedzie — lecz z szewców całą gębą zamożnych. Był bowiem szewcem, jak się patrzy. Szewcem nad szewcami.

Ojciec mojego nieco starszego rówieśnika należał do majstrów dratwy, szydła i kopyta pierwszej gildy. Miał nie warsztat szewiecki, ale cały zakład usługowy, z własnym towarem na miejscu i z asortymentem objazdowym.

Zatrudniał sześciu i więcej czeladników, wśród których miał i takich, co o sobie mówili ambitnie, że są warsiacy. To od nich pewnie jest u nas ulica Warszawska, chociaż tradycja co innego mówi.

Nawiązuje ona do przysłowia: „Gdyby nie ryby i raki, przepadłyby bieżuniaki”. Raki jeszcze z czystej, bieżącej, miejscowej Wkry w wieku XIX wożono do najlepszych restauracji warszawskich i stąd prawdopodobnie w Warszawie mamy ulicę Biezuńską.

Raki zimować poszły gdzie indziej i w wieku XX już należą do minionej przeszłości, a jednak swoim zwyczajem, utrwalonym w nazwie ulic, chodzą do tyłu i nawet korzystają z nowego podtekstu.

Z powyższego widać, że jestem za wersją jedną i drugą zarazem. Przecież dawny bieżuniak i szewc z zawodu to prawie dla siebie synonimy. Rzemiosło po prostu nagminne. Pierwsza połowa porzekadła o 1000 szewców ilościowo bliska jest prawdy.

Ziemie przeważnie 3 i 6 klasy. Z ziemi nie wyżyjesz. W stronę Białogóry w cygańskiej ziemi wiatr handlował piaskiem i z piasku bicze kręcił, a bliżej Bieżunia w dolinie po obu stronach wysokiego lustra wody Wkry nadmiar wody wylewał się z brzegów na łąki i zagony.

Zagony długie i wąskie. Ci, co język wecowali szlifowaniem bruku, mówili o takim zagonie z prześmiechem, że jak się pies na nim położy w poprzek, to pysk ma na jednym, a ogon na drugim zagonie. Trudno i darmo, wozem na takim nie zawrócisz.

Zagon, odzimek, licha żywyli licha. Na okrasę, na torf pod kotliną do palenia, na przyodziewek i na cukier, żeby życie osłodzić, trzeba było zostać butonogiem, bo na korkach olszowych daleko nie poczłapiasz.

Zatem Biezuń miał swoich chłopów-rzemieślników, miejscowych, tak jak dzisiaj istnieją pozamiejscowi chłopci-robotnicy. Pod pewnym względem byli oni również zamiejscowi, jeśli chodzi o targi i jarmarki. Toteż wśród gospodarzy nie brakowało również furmanów, którzy jeździli z szewcami.

Bramorski, jako szewc nad szewcami był jednocześnie gospodarzem, szewcem i furmanem szewieckim. Trzy sroki trzymać za ogon trudno. Przysłowie mówi o dwóch, a jednak z gospodarstwem i ze swoim usługowym zakładem radził sobie. Z furmaństwem bywało różnie. Raz lepiej, raz gorzej. Zdrowie nie dopisywało. W ciężkiej pracy je sterał.

Na szczęście miał syna pomocnego. 13 lat liczył zaledwie, a już głowę na karku nosił nie od parady. Mały, ale śworny — mówili bieżuniacy. Jeden i drugi raz wziął go z sobą na jarmark. Do koni rwał się, lubił furmanować i co więcej, na placu targowym okazał smykałkę do handlu prawdziwie kupiecką. Nie święci garnki lepią. Zaryzykował.

Mieciec wozem długim, naładowanym towarem własnym i miejscowych szewców, z szewcami i z czeladnikiem, godnym zaufania, do pomocy jeszcze po cimaku, kiedy deszcz przestał padać, z latarką dyndającą u boku wozu ruszył na wielki jesienny jarmark do Zielunia.

Warszawską skręcił do Starego Rynku i Mostową dojechał do pół mostu. Konia, łańcuchowego, Siwka, odczepił, przeprowadził do św. Jana i uwadził do drzewa. Następnie wrócił wozem do niego, zaprzągnął na nowo i ruszył do karnyńskiego młyna na Lucie. Skręcił w lewo i dalej już jechał w ciemności nieopisanej między topolami, które stały na granicy pół. Dopiero przy Sośnicy wychylił się w lewo ku latarce i ujrzał białe nogi brzoź. Jakby szukał przeciwnego rowu, w którym swego czasu na przedwiośniu narowisty Kasztan Gołębiewiakom wyprawiał wielkosobotni dyngus.

Po widaku jechać łatwiej. Po cimaku i drodze wyboistej znacznie trudniej. Gdzie kawałek drogi równiejszy, kapkę się zdrzemnął, gdzie wybój, tam się budził i trzeźwiał. Minęła jedna i druga godzina, zanim bruk pod kopytami zadzwonił i pod kołami zaturkotał Żuromin.

Tam, w głównym Rynku podczas krótkiego postoju spotkał innych szewców, co nocy naderwali więcej, bo konie mieli słabsze. Nasz mały furman z Bieżunia wyjechał ostatni, żeby śpiochów pozbierać, a teraz wysunął się na czoło furmańskich jarmarcznych zaprzęgów.

Jechał na czele szewców za frachtowymi stolarzami z Żuromina, bo w Bieżuniu, gdzie kamieniem rzucisz, to szewc, a w Żurominie, jeśli w Żyda nie trafisz, to na pewno w stolarza. Tandeciarza meblowego chłopskiej biedoty.

Trzy niecałe wiorsty jazdy i zakręt przy figurze. Na wprost Brudnice nad Wkrą na wysokim progu ze starym młynem, w którym obecnie po

moim ważnym wuju Władysławie Budzichu wierna rodzinnym tradycjom Młynarka młynarzuje w gnieździe dworkowym, również mojej Matki.

Skręcamy w prawo. Ziemia faluje. Tu i tam mrugają przedświtowe okna. W dół zjeżdżamy do Lubowidza. Witają nas okna już od wewnątrz oświetlone. Dojeżdżamy do modrzewiowego kościółka. Za nim cmentarz, gdzie spoczywają mój dziadek i babka. Zakręt. Obok mostu młyn, co już pół wieku temu chodzić przestał. Dalej droga, do której pamięcią rzadko kiedy sięgam.

Przy ospale i niewidocznie wschodzącym słońcu wóz bramorski dojeżdża do celu. Zieluń już się roi furmankami i ludźmi. Kramarzy, handlarzy, przemytników, ze względu na bliskość granicy, natłok.

Granica prawie że za plecami. Od Zielunia Starego do Nowego Zielunia jak dnia na Nowy Rok, za barani skok, a już mazurskie Prusy.

Tam górują Niemcy, tu przeważają Żydzi. Zwłaszcza w handlu. Szewcy bieżeńscy też mają w sobie żydowski kit. Trzymają się razem. Przebojem zdobyli dobre miejsce na targowicy.

W trymiga zwlekli z fur majdan. Pomogli znieść kufry Mieciowi. Rozstawili czteronożne stoiska drażkowe, na których zawisły powiązane za uszy buty, a na sznurowadłach kamasze, buciki, pantofle. Do wyboru i do nóg pasujące. Towar lepszy i gorszy. Ceny? Zależy od gościa i od popytu. Niższe i wyższe. Na zimę się zanosi. Warto przed nadejściem mrozów w nowe obuwie się zaopatrzyć.

Więc popyt znaczniejszy i ceny wyższe. Szewcy górą.

Ręce przez ręce chwytają buty, żeby wypróbować. Trzeba uważać. Wśród wielu rąk nie brak i złodziejskich. Miecio ma oczy bystre. Nie od parady. Wykiwać się nie da. Czeladnik też się dobrze zwija i jak może pomaga.

Mały sprzedawca ma na piersiach uwieszoną na szyi sakwę, nieproporcjonalnie wielką, a w niej sakiewkę na papierowe banknoty, srebrne ruble i 5-rublówki z 10-rublówkami złotymi. Miedziaki, złotówki ruskie aż do kopiejek i groszaków, wrzucane luzem, brzęczą. Wszak nie darmo zwą się brzęcząca moneta. Nie brak i marek pruskich.

Mniej zasobni szewcy, którym furmanił, towar upchnęli, jak to mówią, w trzy pacierze. W sklepach i w kramach poczynili ciekawsze zakupy. W karczmie lub w szynku wychylili kielicha, zagryźli kielbasą lub salcesonem z bułką i popili kuflem jasnego piwa.

Nie zapomnieli też o swoim małym furmanie i jego czeladniku. Przynieśli im pęto kielbasy, torbę kajzerek i dwie butelki ciemnego piwa. W samą porę, bo już im kiszki walca grały. A może nawet marsza spożywczego.

Podjadł se Miecio i nawet mu się policzki zaróżowiły. Bystre oczy złagodniały. Natłok zelżał, zmalął. Dzień szczęśliwie doszedł do południa, którego godzinę dwunastą zapowiedziała sygnaturka z murowanego kościoła górującego nad targowym rynkiem, zamkniętym trzema ścianami domów.

Ludzie czapki pozdejmowali i pochylili głowy. Wówczas Anioł Pański bez kropidla pokropił ich deszczem, bo był to Anioł Pański taki, co zwiastował nadciągające od zachodu chmury. Siąpiący kapuśniaczek wyszynkował w niebie ludziom, bez różnicy, z łaski na uciechę.

Czas do tych pór się śpieszył, a teraz zaczął uciekać. Ludzie przy kupnie przestali marudzić. Szewcy, jak tylko mogli, lichszy towar upychali bez zarobku znacznieszego, tym bardziej że kropiący deszcz odbierał butom dobrze wypucowanym glans i połysk.

Z nosów szewców i z nosów kamaszy spływały kapki. Jedne przez drugie. Tyle ich było, że już nie warto nosów wycierać. Klientów coraz mniej, a coraz więcej parasoli, w skrzydłach nietoperzom ukradzionych.

Szewcy, którzy wcześniej z Bieżunia wyjechali, wcześniej też z Zielunia odjechali. O drugiej po południu już nie ma co bałamucić. Konie też nie lubią moknąć. Czas najwyższy szkapę zaprzęgać.

Kufry, skrzynie i walizki, a po nich sprzęt pomocniczy fruwają w powietrzu. Kto gdzie może, sadowi się. Całe szczęście, że zabrali z sobą plandekę, pod którą mogą skryć się od deszczu. Wsunęli się pod nią i wcale ich nie widać. Czelałnik wiatrem podszyty też do nich się dołączył.

Miecio sam pusty toczek stawia na furze. Na nim kładzie worek siana, a derką przeznaczoną do nakrycia siedzenia sam się przykrywa. Włazi na furę, bierze lejce do rąk i woła: Wiśta! Wioooo!

Bata nie trzeba. Konie wiedzą dobrze, że to droga powrotna do stajni i do żłobu z owsem. Przecież na owies zarobiły. Po co poganiać. Zresztą i wóz znacznie lżejszy też do biegu zachęca.

Spod plandeki słyhać głosy zgodne i sporne, cichsze i głośniejsze, wesołe i podchmielone, bo wśród szewców, pod dobrą datą, zawianych także nie brakowało. Ktoś zaczął grać na harmonijce i ucichł, ktoś prze-

pitym głosem zanucił pod nosem: „Maryśka, moja Maryśka” i umilkł. Nie poszedł z nią spać do łóżka. Za to odezwało się chrapanie i pochrapywanie.

Tylko mały furman czuwa. Po liczbie pozostałych par oblicza, ile ich sprzedał. Okazało się, że więcej niż jego fater.

Zaprzątnięty tymi myślami nie wiadomo, kiedy minął Lubowidz.

Deszcz kropi mocniejszy. Oczy zaczynają się kleić. Noc niedospana upomina się o swoje prawa. Głowa zaczyna się kiwać po żydowsku, żeby po polsku się zdrzemnąć. Z dłuższymi i krótszymi przerwami, w których słychać głos donośny: „Hej tam, obudź się, gawronie!”

Wówczas trzeźwiał natychmiast. Chwytał lejce i w bok zjeżdżał z drogi. Konie we frachtowych furmankach bez szaf, łózek, stołów i stołków, galopem pędzące do pełnych toków niedalekiego Żuromina, mijały go pospiesznie.

Poboczem jechać trudno i konie same z siebie wracały na środek szosy. Miecio przysnął i znów się zbudził. I to się powtarzało aż do Żuromina. Do mniej więcej połowy drogi.

Chociaż to nie szabas, jednak w oknach już mrugały świeczki. Mocniejszym, bo naftowym światłem oddychały otwierane i zamykane dzwoniem drzwi sklepów, zwłaszcza galanteryjnych.

Rano było za wcześnie, a teraz za późno, żeby do nich wstąpić. Do tego deszcz nasilał się i naglił. Szewcy, którzy wcześniej na jarmark wyjechali, już pewnie byli pod Bieżuniem.

Jechał samotnie, jakby się na nim jarmark zamykał. Za plecami nikt już nie wołał, bo i psa na taką pogodę nikt by nie wygnał. Teraz on mijał furmanki zapóźnionych gospodarzy.

Czapkę miał z uszami zapiętymi na głowie. Rozpiął je, przykrył sterzące uszy i zapiął na guzik pod brodą. Z oczu zginęły światła i konie straciły swój cień biegnący. Uderzenia kopyt i turkot ucichły.

Zaczął się kołysanie z przodu do tyłu, z tyłu do przodu, z prawa na lewo, z lewa na prawo. Na odwyrtkę aż do skutku.

Do snu sprawiedliwego. Przecież chłopcu od snu prawdziwego coś się należało.

Sen dowiódł go do Sośnicy, w której latem koczowali Cyganie. Z wrodzonej ciekawości do nich podrałował. Zmachał się, ale warto było. Napatrzył się i nasłuchiwał co niemiara o życiu Cyganów pod gołym niebem.

Nie tyle pod słońcem, kiedy trzeba uwijać się za chlebem, ile pod gwiaździstym niebem. Jedni mówią pod miedzianym talerzem miesiąca, a drudzy gadają, że pod czapką niewidką księżycy, co sprzyja kradzieży.

Cyganiak o latających oczach po swoim cyganił, a cwany Bramorszczak udał, że mu święcie wierzy. Za to zaprosił go do swojej izby na kołach. Mała, a tyle w niej miejsca przytulnego. Od ojca słyszał o wozie Drzymały, a tu taki wóz na własne oczy zobaczył przez sen jeszcze prawdziwszy.

Z ojcowego jadącego truchcikiem wyskoczył i w biegu do szybciej biegnącego wozu skoczył pod daszek. Szewcy zmienili się w Cyganów? Nic podobnego. Szewców same konie bez furmana wiozą. On zaś we własnej osobie wiezie Cyganów, synów pogańskich z krwi i kości.

Jedzie do karnyńskiego młyna, którego koło wodne już dawno na amen stanęło, a teraz się kręci jak zaczarowane. Przeżegnał się, żeby zle odpędzić, i za to na zakręcie rękę z błogosławieństwem podniósł Chrystus Frasobliwy. Prawe ramię krzyża wskazuje drogą do św. Jana lipowego, bo stoi między lipami, czterema potężnymi, przy moście nad brzegiem rzeki. Zrozumiał.

Trzeba Cyganów, jako synów pogańskich, w rzece wodą ochrzcić. Nie będzie ich pytał, czy chcą, czy nie chcą. Za to im jednocześnie dobre buty uszyje. Pokaże, co to jest siewc warsiaski. Znaj pana szewca po cholewach.

Już miał wjechać na most, kiedy naraz otrzeźwiał i przypomniał sobie, że trzeci koń na nim się nie zmieści. Zaczął konie lejcami ciągnąć do tyłu. Nie mógł dać rady. Biegły naprzód, bo wóz z górki je popychał. Przednie koła raptem uderzyły w bal. Wóz podskoczył i zachwiał się. Ciemność rozdarła oczy. Sen cygański prysnął. Rzeczywistość zagrożona przemówiła.

Szerokość połowy mostu nie dla trójki koni. Łańcuchowy zawadził o bal obramowania i z mostu przednimi kopytami wyskoczył. Zawisł w powietrzu. Lada chwila runie do rzeki i wóz z końmi za sobą pociągnie. Szewców głowy wyjrzały spod plandeki. Niektórzy w mgnieniu oka pryskają z wozu. Między nimi najbliższej wyskoczył czeladnik. Jak ogłupiały stanął i naraz zaczął się kręcić w miejscu. Głowę stracił i na szczęście odzyskał, kiedy z wozu usłyszał: „Odepnij, gamajdo, konia od łańcucha”.

Zrozumiał i natychmiast polecenie wykonał. Niefortunny mały furman uczynił to samo od strony pyska. Koń buchnął do rzeki. Wóz z resztą szewców i konie przy dyszlu uratowane. Koń płynie w stronę brzegu. Ulga. Przedwczesna.

Już ma ziemię pod kopytami, powinien wyskoczyć. Nie wyskakuje. Brzeg pewnie za wysoki. Z rzeniem na głębię wraca, zatacza koło. Smażenie wiatru w powietrzu nie pomaga. Dopłynął do tego samego brzegu. Na twardym gruncie stanął. Burta niewysoka. Dalej jeszcze niższa. Przez końskie okulary nie widzi tego. Z rzeniem zatacza drugie koło. I tak wkoło Wojtek. Co tu robić?

Patrzy w stronę Bieżunia i naraz widzi mrugającą gwiazdkę w pobliżu mostu. To budka blacharza. Józef Kacprzykowski — nawiasem dodając od siebie, ojciec mojej gosposi (villae pro curatrix) pani Marysi — widać, że pracuje.

Mały bieżuniak do warszawiaka biegnie. Szuka ratunku. Ten od razu w sytuacji się zorientował. Pobiegł do studni. Chwycił kulkę z hakiem do czerpania wody i szybko ruszyli do konia, co wciąż jeszcze łączył koniec z początkiem i płytkie miejsce z głębią, gdzie ledwie łeb mu było widać.

Kacprzykowski, również dobry fachowiec jako ślusarz, w moście dobrze się orientował, bo niedawno do niego śruby przykręcał. Zawiesił się pod mostem i zaczepem kulki chwycił kółko przy uzdeczce. Pociągnął konia wolniutko do brzegu niskiego i Siwka z kołowacizny uratował.

Radość z odzyskanego konia jednak przedwczesna po raz drugi. Chociaż przysłowie mówi, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, to w tym wypadku sprawdziło się na opak: nie ma tego dobrego, co by na złe nie wyszło. Sporo butów ze sprzedanych utopił w rzece.

Nazajutrz na skórze konia pojawiły się wyrzuty. Stwierdzono, że zachorował na różę. Ludzka niebezpieczna, a końska pono beznadziejna.

Jakże do nich niepodobne róże z różańcowego ogródka mojej matki. Wspólna nazwa z ukrytą słowną dialektyką. Teza w zachwyty rozkwicie, roślinna, antyteza zwierzęco-ludzka, przerażająca skórna, i z nich wynikająca podskórna z NIEPOKOJU Róża Różewiczowska, przez którą zagalopowałem się, zamiast, na Pegazie, na łańcuchowym Siwku. Zgodnie z moim wiekiem.

Tego końska róża należała do KWIATÓW ZŁA, z których powstała dygresyjna PADLINA. Czyściciel ją uprzętnął, lecz nie wytrzebił z pa-

mięci. Wydobyta z dawnych lat wróciła w interpunkcji do mnie i stanęła w kropce.

Nie kopytami dębem, bo byłyby dwie kropki, lecz nóg tylną puentą i jej przeciwną, niewidocznym promieniem zakreślającą łuk, zawirowała w błędnych kołach konia splawionego.

Słyszę z prawej strony: Pewnie spadł do rzeki przerażony i nie wyskoczył z niej, bo bał się, że znów spadnie z wysokiego brzegu.

Słyszę z lewej strony: Pewnie przeżył nagły szok, wpadł w obłęd, dostał kręčka i nie mógł się z niego wykręcić.

Ktoś stanął za mną i słyszę z tyłu: Bał się wyjść z zaczarowanego koła. Urzeczony zataczał błędne i z nich wyjść nie mógł, bo patrzył śmierci w czy. I już patrzeć nie przestał. Nawet uratowany.

Bramorski swoją końską opowieścią otworzył we mnie trzy bramy wyjściowe, kiedy stanąłem przed czwartą zamkniętą. Osiem nóg ją otworzy.

Edmund Pietryk

Stefan Gołębiowski

Tylko najstarsi poeci wiedzą, że najszybciej próchnieje dom, że wielkie deszcze są najbardziej bezdomne, a wieczność chowa się w jesiennym drzewie. Dlatego przeprowadzili swój ogród przez wąwozy wojen, a swoją pieśń przez zagłębienie ognia, gdy Bóg mazowieckich piasków mówi o wieczności i wieczorem wraca tutaj dusza Horacego w zapachu malwy i wrzосу, bo w jego domu zawsze stuletnie ziarno, nawet gdy wokół tylko śnieg i czarny chleb, nawet gdy wielki mróz to owocobranie, nawet gdy głód, to rodzi się nowa pieśń, nawet gdy pożar i dym, to lęgnie się nowy ptak. Bo jego życie jest źrenicą, w której nawet łyż są jutrem, gdy zdaje się mówić — jeśli chcesz jeszcze raz zmartwychwstać, niech skrzydła rosną ci w głąb serca. Dlatego w nich nawet śmierć nie umiera, bo ich wiersze są jak jesienna trawa, co zna ziemię na pamięć. Oto ten śnieżny cień, który użyźnia dusze najstarszych poetów. Oto ten owoc, który się rodzi w ich piołunowych nocach i jest w nich mądrość otwartych, ale zawsze żyźnych ran, nawet gdy chodzi głodny sęp po ich wiecznym sercu.